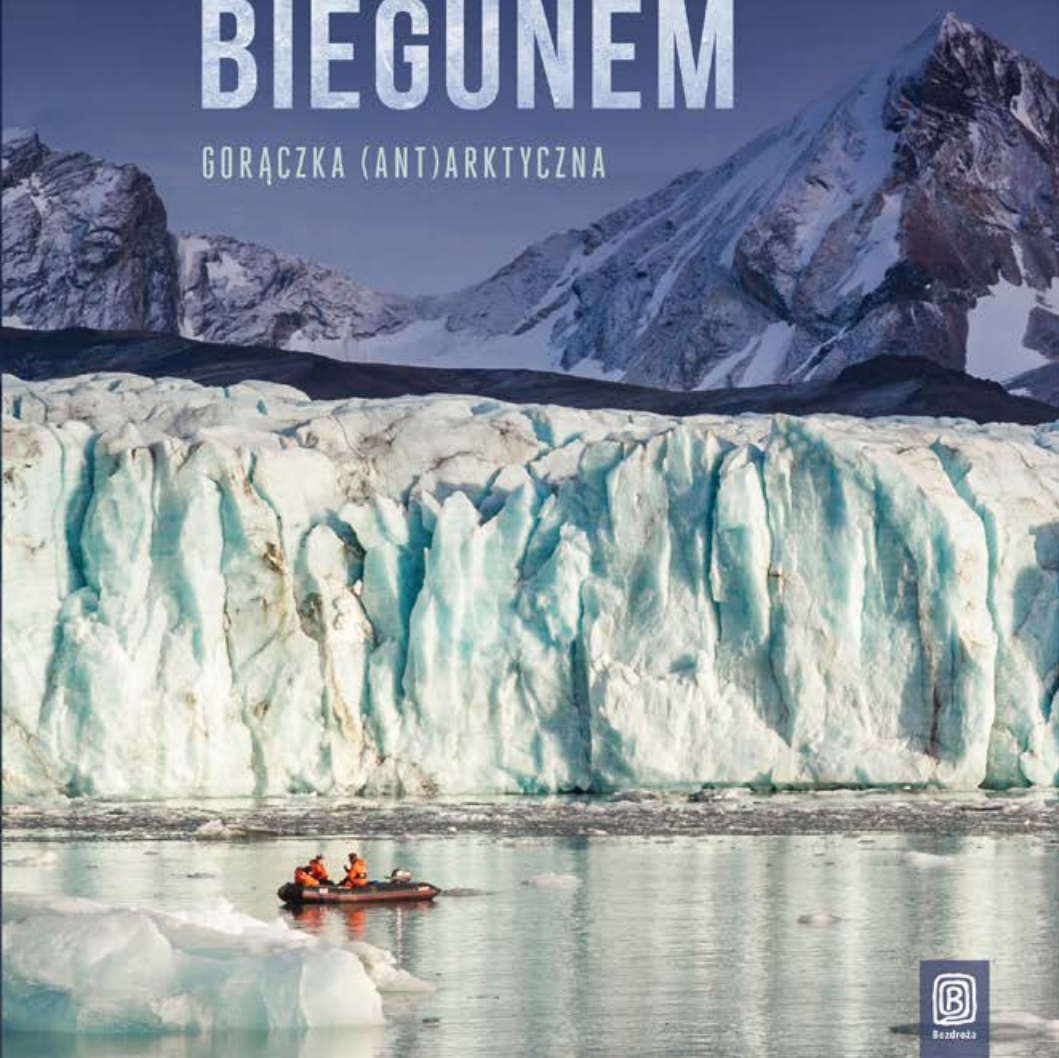


DAGMARA BOŻEK-ANDRYSZCZAK
PIOTR ANDRYSZCZAK

DOM POD BIEGUNEM

GORĄCZKA (ANT)ARKTYCZNA



„W TYM FASCYNUJĄCYM KRAJU ...”

W terenie

Nie mogliśmy się napatrzeć. Imponujące lodowce, strzeliste, ośnieżone góry, fiord w odcieniach od błękitu do szarości, soczysta, zielono-pomarańczowa tundra. Chcieliśmy być wszędzie i od razu. Jakbyśmy się bali, że ktoś nam to wszystko zabierze. Mimo wielu obowiązków niecierpliwie wypatrywaliśmy okazji, aby podczas dynamicznego arktycznego lata wyjść jak najdalej poza stację.

Krajobrazy kusily. Spitsbergen to górzysta wyspa pokryta lodowcami i gdzieniegdzie tundrą – tam, gdzie odrobina płytkiej gleby daje jakiekolwiek oparcie wątłym, ale upartym formom życia. Liczne mchy tworzą grząskie i zielone kobierce, a porosty ozdabiają skały. Na początku krótkiego arktycznego lata w zieleni tundry błyszczą bladożółte płatki maku polarnego oraz fioletowe skupiska skalnic. Robi się pięknie i kolorowo, ale nieodmierne nisko, bo żadna roślina nie wyrasta powyżej kilkunastu centymetrów. Skutecznie uniemożliwiają to bardzo silne wiatry, krótki okres wegetacyjny i poddane wpływowi surowego klimatu jałowe gleby, jedne z najuboższych w składniki mineralne i grubość poziomu próchniczego. Arktyka to też warstwa wieloletniej zmarzliny zwanej permafrostem, występująca tuż pod tak zwaną



Martwe czoło Wschodniego Lodowca Torella

warstwą czynną. Ta ostatnia może mieć grubość od kilkudziesięciu centymetrów do ponad dwóch metrów. Głębiej jest warstwa zamrożonego gruntu, sięgająca nawet kilometr w głąb, która nie rozmarza przez setki, tysiące lat.

Zimą powierzchnia tundry, spięta kleszczami mrozu i przykryta kołdrą śniegu, jest niewidoczna. Wiosną i latem odtaja, ale gruba lodowa bariera tuż pod nią uniemożliwia odpływ wody i całość zamienia się w grząską breję. Taka ziemista maź pokryta miękkimi mchami jest bardzo atrakcyjna wizualnie, ale wystarczy jeden krok, żeby zapaść się powyżej kostek i szybki marsz zastąpić nieporadnym gramoleniem się.

W tym mroźnym klimacie nie ma drzew i krzewów, dlatego niektórych po powrocie straszą swoją wielkością pocziwe kasztanowce, a pierwsze wyjście do lasu wymaga adaptacji. Niemniej jednak „drzewa” w tundrze spotkać można. Tyle że karłowate. Drzewka. A właściwie parocentymetrowe krzewinki wierzby arktycznej, wierzby żyłkowej i dębika ośmiopłatkowego, które tworzą całe lasy i zagajniki. Tyle że aby je odnaleźć, trzeba się mocno schylić i uważnie przyjrzeć.

W teren chodziło się na wycieczki i do pracy. Przed wyjazdem nie wiedzieliśmy, jak wygląda praca naukowców. Mieliśmy jedynie mgliste wyobrażenie, że siedzą zamknięci w świetle laboratoriów i piszą niezrozumiałe dla zwykłego śmiertelnika analizy. Tutaj można było zostać „mułem”, a więc asystować w badaniach terenowych. Nosić termos i kanapki. Robić notatki na kolanie, spisując nie do końca zrozumiały ciąg liczb i oznaczeń. Docierać w miejsca, w które samemu by się nie poszło. A potem, w czasie trwania pomiaru, bezmyślnie wpatrywać się w dal i chłonąć widoki, których nigdy nie było dość.

Zdarzały się też sytuacje całkiem zaskakujące, na przykład wtedy, gdy szliśmy na Lodowiec Arie (Ariebreen). Środek lata. Jestem podekscytowana, to w końcu moje pierwsze poważne wyjście o charakterze naukowym, w dodatku z prawdziwymi naukowcami. Bardzo chcę być przydatna, pomóc, bo sprzętu dużo. Dostaję do niesienia... kilkilitrowy karton wina. Początkowo przyjmuję to z rozczarowaniem, jednak szybko zmieniam zdanie, zwłaszcza kiedy czternaście godzin w terenie robi swoje, a zawartość mojego plecaka nagle znajduje się w centrum zainteresowania.

Okazało się, że naukowcy to też ludzie. Są jak inni – bywają gburowaci, sympatyczni, leniwi, otwarci. Lubią się dzielić wiedzą lub nie, rezerwując ją dla wtajemniczonych. Wydawać by się mogło – kasta, zamknięta grupa. A jednak nawiązanie relacji jest możliwe.

W teren ze względów bezpieczeństwa nie wolno było iść samotnie, a każde wyjście zapisywano w zeszycie leżącym na stoliku w mesie oraz zgłaszano dyżurnemu. Zawsze brano ze sobą radiotelefon UKF (potocznie określany jako radio), a jeśli trasa miała być dłuższa i ukształtowanie terenu uniemożliwiałoby kontakt radiowy – dodatkowo także telefon satelitarny. Do tego GPS, ciepła odzież, termos z gorącą herbatą, coś do jedzenia, apteczka, a na lodo-wiec jeszcze raki... I broń. Oczywiście z nabojami. Oraz rakietnica, żeby w razie spotkania niedźwiedzia najpierw spróbować odpędzić zwierzę wystrzeloną racą (co zazwyczaj było skuteczne), dopiero później kulami gumowymi,

a w ostateczności – ostrą amunicją. Na szczęście dla obu stron podczas naszego zimowania trzecie rozwiązanie nigdy nie zostało zastosowane.

Tuż przed wyjściem odwiedzało się meteorologów i sprawdzało najświeższą prognozę pogody na najbliższe godziny, ponieważ warunki atmosferyczne potrafiły się w mgnieniu oka zmienić z tych względnie dobrych na mniej przyjazne.

Dyżurny miał obowiązek prowadzenia nasłuchu radiowego i sprawdzania, czy wszystkie osoby opuszczające stację danego dnia szczęśliwie wróciły. Gdy ktoś miał się spóźnić, zgłaszał to przez radio, żeby inni się nie martwili. Dobrym zwyczajem było zostawianie jedzenia z obiadu dla osób wracających z terenu. Zazwyczaj było ono chowane w magazynie lub specjalnie opisywane, żeby nikt niepowołany się do niego nie dobrał, bo chętnych na dodatkową porcję nigdy nie brakowało.

Przed wyjazdem dostaliśmy piękną odzież reprezentacyjną, czarno-czerwoną, z naszywkami polskiej stacji polarnej, i wygodne buty trekkingowe. Wyobrażaliśmy sobie, jacy to będziemy fajni, polarnicy całą gębą. Na miejscu rozczarowanie. Fajnie wyglądaliśmy tylko do zdjęć albo jak przyjeżdżali turyści. A na co dzień – chodziliśmy w kaloszach. Porządne ubrania i buty górskie zazwyczaj zostawały na półce, bo kalosze z wszechobecnego błota wystarczyło tylko opłukać. Podziwialiśmy tych, którym chciało się czyścić sznurowane obuwie po każdym powrocie z terenu.

W okolicy stacji zwykle wędrowaliśmy pieszo, a przy dłuższych trasach wykorzystywaliśmy dwie łodzie motorowodne: czarnego „Bombarda” i pomarańczowego „Colmeta”. Pływaliśmy w ocieplanych i wodoodpornych kombinezonach marki Helly Hansen o wściekle pomarańczowej barwie, która mocno odcinała się na tle stalowej powierzchni fiordu, ale za to ładnie komponowała się z „Colmetem”. Kombinezony były zawsze za duże, ciężkie i wilgotne. Czasami śmierdzące, bo niedosuszone. Poruszanie się w nich na



■ Dzięki pomarańczowym kombinezonom pływających polarników widać z daleka

Kup książkę

Poleć książkę



Kup książkę

Poleć książkę

ładzie było męczące, a ich użytkownik wyglądał nieporadnie, jak teletubiś Po, który zgubił się na końcu świata i niezgrabnie błąka się po okolicy. Na początku pobytu w Arktyce zakładanie kombinezonu było prawdziwym wyzwaniem, ale w tym często pomagali inni. Potem już bez problemu wciągało się ciężkie ubranie na ramię, pamiętało o zapięciu klamry zabezpieczającej i zasunięciu wszystkich zamków (im szczelniej zapięty kombinezon, tym większa szansa przetrwania w zimnej wodzie na wypadek znalezienia się za burzą). Na własnej skórze przekonałam się, że przy dłuższym pływaniu strasznie się marznie, ale i tak trochę czasu zajęło mi dobranie optymalnej liczby warstw ubrań. Najszybciej poszło z nogami – najbardziej skutecznym remedium na moje marznące stopy okazały się pocziwe wełniane skarpety.

Pierwszy raz pontonem płynęliśmy w lipcu. Ja z grupą naukowców z Uniwersytetu Wrocławskiego i zaopatrzeniem do Baranówki, Piotrek z badaczami z Akademii Nauk Republiki Czeskiej na drugą stronę fiordu, w okolice tak zwanego Skalnego Miasta (Stonehengesteinane), ciekawych form skalnych na południowym brzegu Hornsundu. My wieźliśmy jedzenie oraz sprzęt techniczny i naukowy potrzebny do pracy i normalnego funkcjonowania przez trzy letnie miesiące w drewnianym husie. Oni płynęli z urządzeniami pomiarowymi, które miały zostać zamontowane w podłożu skalnym. Mnie ta wyprawa bardzo się podobała i od tej pory pływanie pontonem stało się jedną z moich ulubionych form transportu. Piotrek natomiast utwierdził się w przekonaniu, że tylko pod przymusem wsiądzie na cokolwiek, co pływa, i że zdecydowanie woli latać.

Ponton mocno podskakiwał na falach, a morze od czasu do czasu serwowało nam darmowy prysznic i trzeba było się mocno trzymać lin, żeby nie zjechać ze śliskiej od wody burty. Razem z nami na pokładzie płynęła Ania Rzepa, nauczycielka z Publicznego Gimnazjum nr 1 w Lęborku, która – podobnie jak ja – pracowała w projekcie Eduscience. Do stacji przyjechała latem, na kilka dni. Jej tata był jednym z budowniczych stacji w Hornsundzie i Ania obiecała jemu i sobie, że kiedyś odwiedzi to miejsce. Praca w Eduscience to był ten moment, kiedy w jej życiu otworzyło się okno na północ i spełniła jedno z marzeń.

Kiedy wszyscy wysiedliśmy z łodzi, przypadło mi w udziale niesienie wytłaczanki z dwudziestoma jajkami, Ania zaś taszczyła długą, metalową rurę. Razem z nami, dostojnie, choć w sandałach, kroczył Piotr z Uniwersytetu Wrocławskiego. Prowadził nas po grząskich mchach trasą, którą znał na pamięć. Nagle usłyszeliśmy, jak się potem okazało, niemal aforystyczny tekst na temat Baranówki:

– Za chwilę zobaczycie taki zielony domek z czerwonym dachem.

Szliśmy gęsiego, co rusz grzęznąc w rozmokłej tundrze. Ja z jajkami, Ania z rurą, Piotr w mokrych skarpetach i z wylewającą się z sandałów wodą, w dodatku bardziej patrząc pod nogi i na ładunek niż wokół siebie. Cud, że jakiś zabłąkany niedźwiedź nie skorzystał wtedy z okazji.

Cztery lata później zadzwonił do mnie ktoś z nieznanego numeru. Odebrałam, myśląc zupełnie o czymś innym. Na ziemię ściągnął mnie charakterystyczny tekst, zrozumiały dla zaledwie paru osób na ziemi:

– Rura i jajka. Cześć, Daga.

Czas stanął w miejscu.

Potem, kiedy zmarznięci i przemoczeni wróciliśmy z pobliskiego Lodowca Werenskiolda (Werenskioldbreen) do Baranówki, od razu owiało nas ciepło ognia z piecyka i ludzkiej życzliwości. Gospodarzył Piotr, już w suchych butach, znający to miejsce od podszewki. Ojcowskim gestem zaprosił nas na gorącą herbatę i naleśniki wprost z patelni. Usmażone na jajkach, które niosłam przez tundrę, były grube na centymetr i ociekały tłuszczem. Gdy obłożyłam je plasterkami szynki konserwowej, którą hojnie nakroił Piotr, okazały się jednym z najlepszych dań, jakie kiedykolwiek jadłam. Wcinaliśmy żarłocznie, a upačkane tłuszczem palce wycieraliśmy w spodnie. Później, kiedy podczas zimowania kilkakrotnie odwiedzaliśmy hus wrocławowiaków, zawsze myślałam wracałam do tej pierwszej wizyty, a samo miejsce do dziś kojarzy mi się z zapachem naleśników.

Baranówka, czyli należąca do Uniwersytetu Wrocławskiego Stacja Polarne imienia Stanisława Baranowskiego na Spitsbergenie, jest bardziej znana pod swoją quasi-norweską nazwą Werenhus. Znajduje się na przedpolu

Lodowca Werenskiolda, w odległości półtora kilometra od jego czoła, tuż nad zaopatrującą stację w wodę malowniczą rzeką Brattegg, która wypływa z doliny o tej samej nazwie.

Werenhus to niewielkich rozmiarów drewniany domek mieszczący trzy pomieszczenia i skromną część kuchenną. To w niej niektórzy, mimo ograniczonych środków, potrafili zdziałać kulinarne cuda, takie jak świeżo pieczone rogaliki na śniadanie. Jest też magazyn żywności, strych wykorzystywany głównie jako miejsce noclegowe oraz przedsionek ze składnikiem drewna i miejscem tymczasowego składowania śmieci. Toalety jest na zewnątrz, za skałą, a prysznic – w pobliskiej rzece. Zimny, aż zęby cierpną.

Stacja działa od 1971 roku, a jej pomysłodawcą był Stanisław Baranowski, glaciolog i klimatolog zawodowo związany z Uniwersytetem Wrocławskim. Na wieść o tragicznej śmierci naukowca w 1978 roku nadano stacji jego imię, a niedaleko domku usypano kopczyk poświęcony jego pamięci, na którego szczycie zatknęto czekan.

Latem Werensus tętni życiem. Z Hornsundu wpada się tam, by przywieźć główkę kapusty, bo się skończyła, albo na szybką kawę, ostrożnie wioząc pontonem świeżo upieczone ciasto. Czasem zagląda się na parę dni, pomóc w drobnych naprawach i przy okazji popracować w terenie. Mimo niewielkiej przestrzeni domek każdego przyjmie pod swój dach.

O ile my w Hornsundzie mieliśmy psy, o tyle Werensus szczycił się bardzo dobrymi kontaktami z okolicznymi lisami polarnymi zwanymi także pieściami. Zwierzęta te, wielkością zbliżone do kota, zachwycają długim ogonem szczelnie pokrytym grubą sierścią. Latem są zazwyczaj brązowe, zimą śnieżnobiałe lub ciemnoszare, a przez cały rok nieodmiennie ciekawskie. Zdarzają się też lisy o ciemnej sierści, niewrażliwej na zmiany pór roku. To wynik tak zwanego melanizmu, występującego u niewielkiego procenta populacji lisów polarnych. Ciemne zabarwienie futra jest skutkiem dużej zawartości melaniny, barwnika odpowiadającego między innymi za kolor sierści.

Lisy polarne budują nory lęgowe w ziemi. Mimo że w miocie może być ponad dziesięć szczeniąt, niewiele z nich przeżyje. Przyczyniają się do tego mroźny klimat i trudności ze znalezieniem wystarczającej ilości pożywienia, na które składają się głównie ptaki i ich jaja oraz ryby. Zima to dla pieśców najtrudniejszy okres, bo wtedy upolowanie czegoś to prawdziwe wyzwanie – wodę skuwa lód, a z tundry odlatują wszystkie ptaki z wyjątkiem pardwy górskiej. Tę zaś trudno złapać, ponieważ zmienia upierzenie na zimowe, czyli białe, więc świetnie się maskuje w głębokim śniegu. Co w takich kryzysowych sytuacjach robią lisy? Często podążają za niedźwiedziami polarnymi i żywią się resztkami po ich ucztach. Zdarza się, że jedzą również ich odchody. A jeśli tylko trafi się więcej smacznych kąsków, bo polowanie było udane, zapobiegliwy piesiec nie zjada wszystkiego od razu. Nadwyżki zakopuje, żeby mieć coś na chudsze dni.

Gościnność pod Lodowcem Werenskiolda obejmowała wszystkie żywe istoty, więc pieśce nierzadko wpraszały się na śniadanie lub spokojnie harcowały niedaleko domku. Kiedy zauważały w okolicy jakiś większy ruch, chowały się wśród okolicznych skałek, jednak po chwili wychylały zza nich trójkątne pyszczki i podchodziły bliżej, żeby sprawdzić, kto zacz i czego chce.

Mieszkańcy Werenhusa byli zawsze mile widziani w naszej stacji – czekało na nich miejsce noclegowe i ciepły posiłek. Wizyta w Hornsundzie, oprócz oczywistej wartości towarzyskiej, była też okazją do skorzystania z internetu czy zrobienia prania. W ciągu lata ruch pomiędzy obiema stacjami, zarówno drogą lądową, jak i morską, właściwie nie ustawał. Wraz z nastaniem krótkiej, arktycznej jesieni Werenhus opustoszał, choć nie został tak zupełnie opuszczony. My, załoga z Hornsundu, regularnie odwiedzaliśmy to miejsce podczas zimowania. Czasem na parę godzin, innym razem na kilka dni. Kiedy za oknem czaiła się zimna noc polarna, w piecyku buzował ogień, a my siedzieliśmy w ciszy z kubkiem parującej herbaty w dłoniach i czuliśmy, jak domek oddycha razem z nami, a wpisy z książki pamiątkowej przywoływały ciepłe wspomnienie lata wraz z nieodłącznym zapachem naleśników.

DOM NA POŁUDNIU

Nowa codzienność

I znów polarna rzeczywistość: osvajanie przestrzeni, tworzenie zrębów codzienności w niecodzienności. Krążenie po kątach, szukanie, gdzie ręczniki, gdzie duże patelnie, poznawanie miejsc pracy, odnajdywanie się w obowiązkach.

Na poważnie zaczęło się od porządków, i to gruntownych. Rządy poprzedzającej nas sześcioosobowej męskiej załogi stworzyły namiastkę nieco przerażającej wizji, jak mógłby wyglądać świat bez kobiet. Teraz w ruch poszły szczotki, proszki, płyny, miotły, ściereczki i inny oręż do walki o schludne otoczenie. Sylwek wynosił z ambulatorium sterty przeterminowanych leków, w pokojach trwała walka z kurzami, na zewnątrz ktoś heroicznie próbował domyć okna. Na bieżąc kompletowałam świeże pościele i koce i wspierałam działania porządkowe, które z równą intensywnością trwały w domkach letnich. Tworzyliśmy listę dziwnych rzeczy znalezionych podczas porządków – otwierały ją takie osobliwości jak worek strunowy wypełniony obciętymi włosami, tasak kuchenny w kieszeni kurtki robotczej (kurtka wściekle pomarańczowa, rękawice zielone, a więc właściciel pewnie ekscentryk) i odżywka... do końskiej grzywy! Trafialiśmy na ciekawe rozwiązania problemów codzienności, wymyślone przez naszych poprzedników:

poowijane folią opakowania z proszkami do prania (jak się wysypie, to do woreczka i nie trzeba zamiatać) czy ręczniki wielorazowego użytku w łazienkach podpisane jako „społeczne”. Przy trzydziestu osobach w stacji nie mogliśmy sobie pozwolić na taką ekstrawagancję, więc prędko zostały zastąpione przez bardziej higieniczne ręczniki papierowe.

Dzięki porządkom poznaliśmy stację na wylot. Zapał do tworzenia wszechobecnego ładu objął też warsztat mechaniczny oraz inne pomieszczenia techniczne i również tam, dzień po dniu, toczyła się nieustępliwa batalia o czystsze jutro.

W powyższym kontekście zupełnie nie dziwi scenka z początku pobytu, kiedy w stacji, w oczekiwaniu na sygnał do jej opuszczenia, poprzednia grupa zimująca siedziała dosłownie na bagażach. Sympatyczni Dawid i Bartek opowiadali o zimowaniu, pokazywali, co i gdzie się znajduje. Dowiedzieliśmy się, że jedna zmywarka nie działa (potem okazało się, że miała filtr zapchany odpadkami), a toster, który stoi na kredensie przy oknie, może podpalić firankę.

– Żeby temu zapobiec, dobrze raz na jakiś czas odkurzaczem wyciągnąć okruszki – zasugerował Bartek, starając się być pomocny.

– Ale przecież tam jest podstawka, którą można zdjąć i wyczyścić... – zdziwiła się nieśmiało Mała Asia. Jej uwaga wzbudziła u mężczyzn lekki popłoch. Od razu było jasne, że na stacji znów pojawiły się kobiety, nowa wyprawa i nowe porządki.

Temu wszystkiemu przyglądał się ze ścian w mesie jakby wiecznie zatroskany Henryk Arctowski, sportretowany przez Ewę Rakusę-Suszczewską. Zarośnięta twarz, włosy prawie do ramion, kaftan uszyty z futra – tak mógł wyglądać dziewiętnastowieczny polarnik. Mógł, ale nie musiał. Ważniejsze jest to, że Arctowski wraz z Antonim Bolesławem Dobrowolskim byli pierwszymi Polakami badającymi Antarktykę. W latach 1897–1899 brali udział w Belgijskiej Wyprawie Antarktycznej, która jako pierwsza zimowała na tym obszarze, ponieważ transportujący załogę statek „Belgica” uwiązł w lodzie na Morzu Bellinghausena. Dowodził kapitan Adrien de Gerlache, a na



Na pierwszym planie stacja imienia Henryka Arctowskiego, w tle dryfująca góra lodowa

pokładzie oprócz niego i Polaków na początku wyprawy było jeszcze dwunastu Belgów, sześciu Norwegów, Rumun i Francuz. Łącznie dwadzieścia trzy osoby. Jak pisze w swoich pamiętnikach²¹ Roald Amundsen, uczestnik tej wyprawy, śmiałkom towarzyszył kot Nansen. Badacze mieli z nim niemałe utrapienie, bo wyjadał ryby, które chciano przywieźć do Europy jako okazy nieznanych do tej pory gatunków. Na próżno szukać w diariuszu opisów heroicznych wyczynów i niestworzonych przygód. Wiele zapisków otwiera aktualna prognoza pogody, a z kart wyziera nuda i monotonia. Wbrew powszechnym wyobrażeniom takie właśnie są realia wielu wypraw, z czego ci, którzy są spragnieni opowieści o bohaterskich czynach, nie zdają sobie z tego sprawy. Co się stało z kotem, autor nie pisze, ale wyprawa, mimo

21) *Roald Amundsen's Belgica Diary: The First Scientific Expedition to the Antarctic*, pod red. H. Declaira, Antwerpia 1998.

wielu trudów, zakończyła się sukcesem i stworzyła solidne podstawy do dalszej eksploracji Antarktyki.

Ekspedycja była przełomowa, bo umożliwiła przeprowadzenie licznych badań naukowych na nieznanym dotychczas obszarze oraz była okazją do obserwacji, jak ludzka psychika radzi sobie z ciemnościami nocy polarnej. O Arctowskim Amundsen pisze, że podczas wyprawy wykonywał prace z zakresu geologii, oceanografii, meteorologii i glaciologii, które zasadniczo powinny być podzielone między co najmniej cztery osoby. Polski badacz wslawił się między innymi zaobserwowaniem analogii w budowie geologicznej pomiędzy Andami Południowymi, archipelagami na morzu Scotia i górami Półwyspu Antarktycznego, a samo pasmo sugerował nazwać Antarktandami. Natomiast Dobrowolski, który podczas wyprawy pracował razem z Arctowskim i pełnił funkcję asystenta meteorologa, był twórcą odrębnej dziedziny nauki – kriologii, zajmującej się badaniem lodu.

Polacy w Antarktyce pojawili się ponownie pod koniec lat pięćdziesiątych. W 1958 roku na Antarktydzie Wschodniej pracował zespół sześciu geofizyków pod kierownictwem Wojciecha Krzemińskiego. Towarzyszyło im również małżeństwo Centkiewiczów, a Alina Centkiewiczowa była pierwszą Polką, która dotarła na szósty kontynent. Grupa pracowała w Oazie Bungera, korzystając ze stacji przekazanej Polsce przez Związek Radziecki. Placówka oficjalnie została przejęta przez naszych rodaków w 1959 roku i nadano jej imię Antoniego Bolesława Dobrowolskiego. Funkcjonowała dość krótko i obecnie też nie jest przez Polaków wykorzystywana. Czeka w uśpieniu na lepsze czasy, które być może kiedyś nadejdą.

Kolejne lata obfitowały w wizyty Polaków w Antarktyce, ale już nie pod polską flagą. Zaliczał się do tej grupy Stanisław Rakusa-Suszczewski, ojciec założyciel Arctowskiego, wielki entuzjasta polskiej obecności w Antarktyce, który na Antarktydzie zimował dwukrotnie, w latach 1968–70 i 1973–74, pracując w radzieckiej stacji Mołodzioznaja i w amerykańskiej McMurdo.



■ Polska Stacja Antarktyczna imienia Henryka Arctowskiego

Kup książkę

Poleć książkę



Kup książkę

Poleć książkę

W końcu nadszedł moment, kiedy pojawiła się realna potrzeba powołania do życia polskiej stacji badawczej w Antarktyce. Rozwijający się gospodarczo kraj poszukiwał nowych terenów połowowych dla rozrastającej się floty rybackiej, a to z kolei ściśle wiązało się z celami naukowymi skoncentrowanymi wokół ekosystemów morskich. Stacja miała być zapleczem nie tylko badawczym, ale i logistycznym, wspierającym działania polskiego rybołówstwa na obszarze Antarktyki. To nie wszystko: „Ważna jest również obecność Polaków na szóstym kontynencie. Fakt, że polska flaga powiewała i będzie powiewać wśród dziesiątków flag innych państw uczestniczących w badaniach Antarktydy – jest dla nas sprawą istotną”²².

W grudniu 1975 roku wyruszyła pierwsza Polska Wyprawa Antarktyczna na statkach „Profesor Siedlecki” i „Tazar”, której głównym celem był rekonesans wód między innymi w okolicach Szetlandów Południowych i Georgii Południowej. Hasłem przewodnim został kryl antarktyczny, podstawa łańcucha pokarmowego w Oceanie Południowym – wążący zaledwie kilka gramów skorupiak, którego chciano pozyskiwać w celach komercyjnych jako potencjalne źródło białka. Rezultaty okazały się zadowalające, więc kolejnym krokiem miało być założenie polskiej stacji w badanym regionie.

Pod koniec 1976 roku z Polski wyruszyła następna wyprawa do Antarktyki. Płynięto na dwóch statkach, „Dalmor” i „Zabrze”, z prawie trzema tysiącami ton ładunku. A już 26 lutego 1977 roku w świat nadano komunikat w pięciu językach: „Tu stacja antarktyczna imienia Henryka Arctowskiego Polskiej Akademii Nauk na Wyspie Króla Jerzego w archipelagu Szetlandów Południowych, położona na 62°10'S i 58°28'W”²³.

Działalność poszczególnych państw, w tym zasady funkcjonowania stacji badawczych w Antarktyce, normuje międzynarodowy dokument zwany Traktatem antarktycznym. Został podpisany w 1959

22) S. Rakusa-Suszczewski, *Kryl – pokarm przyszłości*, za: R. Badowski, *Biało-czerwona u brzegów Antarktydy*, Warszawa 1997, s. 10.

23) Strona internetowa Polskiej Stacji Antarktycznej imienia Henryka Arctowskiego, <http://www.arctowski.pl/index.php?p=122> (dostęp: 19.09.2016).

roku w Waszyngtonie i określa status prawny obszaru położonego na południe od równoleżnika 60°S. Zgodnie z jego postanowieniami Antarktyka jest terytorium wolnym od działań wojennych, a prowadzona tutaj działalność ma mieć charakter pokojowy i naukowy, służący międzynarodowej współpracy. Polska, jako sygnatariusz dokumentu, po założeniu bazy uzyskała w 1977 roku prawo do głosowania podczas corocznych spotkań konsultacyjnych (warunkiem przyznania takich uprawnień jest posiadanie stacji badawczej w Antarktyce).

Główny budynek stacji, zbudowany w kształcie litery „T”, potocznie jest nazywany Samolotem. W części mieszkalnej, składającej się z połączonych kontenerów, mieści się czternaście jednoosobowych pokoi, pomieszczenie techniczne, ambulatorium, suszarnia, toalety i prysznic. W tej stacji, żeby dotrzeć do toalet, na szczęście nie przechodzi się przez mesę, tylko przez pusty korytarz. Za to w niektórych pokojach było słychać, kiedy ktoś wchodził i wychodził z Samolotu. A jeśli do tego ekspresyjnie trzasnęła drzwiami, to gdzieś tam drzenie przebiegało przez futryny, a z niektórych pokoi dobiegał pomruk niezadowolenia.

Miejscem pracy grupy technicznej był osobny budynek hali agregatów, w której oprócz generatorów mieściły się warsztaty i magazyny. Przez całe lato trwały tam intensywne prace modernizacyjne i remontowe. Naukowcy, często chodzący w teren, mieli do dyspozycji budynek laboratorium biologicznego z malowniczym widokiem na zatokę. Potocznie nazywa się go Greenhouse'em, bo jeszcze dziesięć lat wcześniej pełnił funkcję szklarni i pracownicy Arctowskiego mogli liczyć na zieleninę do porannych kanapek. Komu wystarczyło do pracy komputer, mógł rozsiąść się z nim w dowolnym miejscu, nawet w odległości kilkudziesięciu metrów od stacji, bo taki zasięg miało Wi-Fi.

Przestrzeń moja i Piotrka wyglądała inaczej niż w Hornsundzie – pracowaliśmy osobno, każde w swoich czterech ścianach, a funkcję sypialni pełnił pokój Piotrka. Bo większy ład, jak to u elektronika, a u mnie na łóżku zawsze książki, ubrania z terenu i masa innych rzeczy.

Z racji tego, że Piotrek odpowiadał również za łączność radiową, w jego pokoju znajdowała się druga, po tej w mesie, radiostacja UKF ustawiona na częstotliwościach morskich. Dzięki temu mógł na bieżąco reagować, kiedy ktoś wywoływał Arctowskiego przez radio. Czasem w nocy budziły nas ważne rozmowy albo pogaduszki w różnych językach i o odmiennym poziomie ekspresji. Gorzej, jeśli beztrioskie plotki trwały na używanym do oficjalnych komunikatów kanale szesnastym, bo nie byliśmy w stanie spać i trzeba było przeczekać czyjaś niestosowną gadaninę.

Duży zasięg łączności zapewnia przemiennik radiowy, który znajduje się w niewielkiej drewnianej budce na górującym nad stacją szczycie Point Thomas. Nocą widać tam niewielki świecący punkcik włączonej na stałe lampy, a w ciągu dnia na wzniesienie o wysokości lekko ponad sto siedemdziesiąt metrów nad poziomem morza można wejść w dwadzieścia minut. Point Thomas był naszym „uchem na świat”, dzięki niemu mogliśmy słyszeć kolegów pracujących w terenie czy pływających zodiakiem kilkanaście kilometrów od stacji. Przy okazji nie czuliśmy się samotni, bo co rusz słyhać było wywoływania sąsiednich stacji – chińskiej Great Wall, urugwajskiej Artigas, argentyńskiej Carlini, południowokoreańskiej King Sejong czy chilijskich Frei i Escudero. Z powodu takiego zagęszczenia w eterze stacje zwyczajowo pracowały na innych kanałach roboczych, żeby się nie przekrzykiwać, i najczęściej tylko w sytuacjach formalnych korzystano z kanału szesnastego, by kogoś wywołać. Arctowski i brazylijski Comandante Ferraz pracowały na kanale dwunastym i potem często we wspólnych rozmowach śmialiśmy się, że my gadamy dużo, oni gadają dużo, ale nikt nie wie, o co chodzi.

Zimą radio odzywało się sporadycznie, nie było już tego żaru rozmów i natłoku informacji. Ale nawet te krótkie komunikaty były przyjemne dla ucha, bo świadczyły o tym, że nie jesteśmy na wyspie sami.

Dzienna komunikacja pomiędzy pokojem moim a Piotrka była nieco utrudniona, bo pomieszczenia znajdowały się naprzeciwko i oddzielał nas korytarz i dwoje drzwi. I choć w naszym mieszkaniu w Polsce pozostawianie ich otwartych było zupełnie naturalne, tutaj nie wchodziło w grę, bo drzwi

pełniły również barierę ochronną strefy prywatności, czyli około pięciu metrów kwadratowych przypadających na jednego zimownika. Złościło mnie to, bo byłam przyzwyczajona, że w domu nasze biurka stoją obok siebie i w każdej chwili możemy porozmawiać. Tu pozostawało nieustanne przemieszczanie się i przesiadywanie raz w jednym pokoju, raz w drugim.

Z części mieszkalnej przechodzi się do mesy połączonej z jadalnią, która wygląda jak świetlica górskiego schroniska. Boazeria, drewniane meble i bar z całym arsenałem kufla i kieliszków. Miejsce spotkań, imprez, jedzenia posiłków. I pamięci, bo na jednej ze ścian wisi wspomniany portret Arctowskiego, a tuż obok obraz przedstawiający statek „Belgica” wraz z krótką informacją o tej szczególnej wyprawie. A kiedy spojrzy się przez jedno z okien stacji, na pobliskim wzgórzu można zobaczyć charakterystyczny krzyż oznaczający miejsce pochówku Włodzimierza Puchalskiego, dla którego udział w III Polskiej Wyprawie Antarktycznej okazał się ostatnią podróżą. Zmarł 19 stycznia 1979 roku, tuż obok pingwinów, którym robił zdjęcia. Piękna śmierć dla fotografa przyrody i malownicze miejsce wiekuistego spoczynku, choć tak daleko od kraju i bliskich. Zawsze, kiedy przechodziłam w okolicach krzyża, przystawałam na moment, żeby tę wieczną samotność uczynić może choć odrobinę mniej dotkliwą.

Grób Puchalskiego został wpisany na listę historycznych miejsc i pomników Antarktyki. Ale w naszej pamięci to miejsce będzie kojarzyć się z żywymi i barwnymi opowieściami.

– Jakbyście słyszeli, że coś spadnie, trzaśnie, drzwi się otworzą, to robi to nikt inny, tylko właśnie Puchalski – opowiadał kolega, który już wcześniej zimował na Arctowskim. Ta historia brzmiała dość przekonująco i – w pewnym sensie – uspokajająco nawet dla najbardziej strachliwych osób, bo w końcu Puchalski to „swój”. Nawet jako duch.

Zabawna historia wiąże się z dwoma amerykańskimi naukowcami, którzy odwiedzili stację. Spacerujemy koło budynku: Adam, nasi goście i ja. Nagle Jeremy pyta: „Kto to?”, wskazując na Wzgórze Puchalskiego, na które akurat wchodził ktoś kierujący się w stronę krzyża.



Miejsce wiecznego spoczynku Włodzimierza Puchalskiego

– Włodzimierz Puchalski, uczestnik III Wyprawy, który został tutaj pochowany... – odpowiada swobodnie Adam, a ja widzę, jak miny naukowców momentalnie nabierają lekko przerażonego wyrazu.

– Co na obiad? – rzucił od progu Damian i od razu uprzedzał odpowiedź: – Wiem, że pierwsze i drugie. – Damian zawsze pojawiał się w kuchni na pół godziny przed czasem. Zdązał się już przebrać z poplamionej smarem odzieży roboczej, w której spędzał większość dnia w warsztacie, a potem przychodził trochę się podroczyć z kucharzem (no bo który z nich lubi, jak mu się do garnków zagląda?).

Do kuchni przechodzi się z mesy. To serce stacji. Wpada się tu na pogaduszki w przerwie pomiędzy zajęciami, podjeść kawałek kabanosa lub skubnąć świeżo upieczonego ciasta. W końcu do kolejnego posiłku zawsze jest za dużo czasu, a w brzuchu burczy. Dzięki temu towarzyskiemu aspektowi

praca w kuchni była w miarę znośna. Plusem spędzania większości czasu w Samolocie było to, że wiedziałam, kto i kiedy wychodzi w teren, i czy przypadkiem nie potrzebuje dodatkowego prowiantu. Oprócz tego, jako osoba odpowiedzialna za zakwaterowanie, mogłam szybko zareagować w sytuacji, kiedy w stacji pojawiały się nowe osoby. Były też i gorsze strony: mimo że po roku na Spitsbergenie wiedziałam już, jak wygląda praca w kuchni, rzeczywistość trochę mnie przerosła. Garów do mycia było zawsze za dużo, a gdy kończyłam porządki po jednym posiłku, miałam wrażenie, że już się zaczyna przygotowania do kolejnego. Spełnianie marzeń zawsze ma jakąś cenę...

Za kuchnią są pomieszczenia gospodarcze z lodówkami i zmywarkami, magazyny z suchym prowiantem i podręcznymi chłodziarkami. W lecie, przy sporej liczbie osób, która oscylowała wokół dwudziestu, a momentami dochodziła do trzydziestu, schab schodził kilogramami, kompot garami, a ziemniaki workami. Z tego powodu dość często chodziłyśmy z kucharką Asią „na zakupy” do kontenerów z żywnością, które znajdowały się na zewnątrz. Jak wiało i sywał śnieg, to wkładałyśmy gogle, a jak świeciło słońce, wystarczyła lekka kurtka. Niezależnie od pogody zakładaliśmy kalosze ze względu na wszechobecne błoto i brałyśmy wytrzymałe torby z materiału. A gdy w planie były większe „zakupy”, to dodatkowo nakłaniałyśmy pierwszego napotkanego kolegę, żeby pomógł nam w transporcie.

Z dnia na dzień codzienność powoli się układała i coraz mniej paczek z zaopatrzeniem pozostawało do rozpakowania. Rytm dnia wyznaczały posiłki, wydawane o stałych porach: śniadanie o ósmej, obiad o czternastej i kolacja o dziewiętnastej.

Na Wyspie Króla Jerzego zjawisko dnia i nocy polarnej nie występuje, więc nasze organizmy od początku pobytu funkcjonowały w miarę normalnie. Za to ja kompletnie nie mogłam się przyzwyczaić do zmiany strefy czasowej: najpierw cztery godziny różnicy, a po przejściu w Polskę na czas letni – już pięć. Było to dla mnie tak dużą przeszkodą do pokonania, że przez pierwsze tygodnie prawie do nikogo nie dzwoniłam. Kiedy miałam wolną chwilę po kolacji, docierało do mnie, że w kraju już jest północ.



Wnętrze polskiej stacji na Wyspie Króla Jerzego: mesa...

I choć w końcu nauczyłam się planować z kilkudniowym wyprzedzeniem wszelkie rozmowy z rodziną i przyjaciółmi, a terminy zapisywać na żółtych karteczkach samoprzylepnych, przez całe zimowanie na moim komputerze niezmiennie obowiązywał czas polski.

Sąsiedzi

Z punktu widzenia znajomych z Krakowa wyjechalśmy na koniec świata i to w dodatku „na biegun”, ale mimo to wcale nie czuliśmy się odcięci od kontaktów z cywilizacją. I to nie tylko dzięki łączności satelitarnej, która umożliwia komunikację z resztą świata, ale również z uwagi na fakt, że na Wyspie Króla Jerzego nie byliśmy sami. Swoje bazy posiada tutaj (łącznie z Polską) jedenaście państw, a w samej Zatoce Admiralicji są cztery takie

SPIS TREŚCI

Wstęp	5
Fiedler, Curwood i ... my	7
Dom na Północy	27
Głucha noc	62
Wiosna przychodzi z rybitwami	90
„W tym fascynującym kraju ...”	116
Więzi	140
Pomiędzy światami	162
Na morzu	186
Dom na Południu	202
Piąty żywioł	238
Kraina ludzi i zwierząt	262
Szklana kula	297
Bibliografia	315
Podziękowania	319

Tekst: Dagmara Bożek-Andryszczak
Zdjęcia: Piotr Andryszczak

Redaktor prowadzący: Paweł Sondej
Redakcja: Agnieszka Szmuc
Korekta: Mariusz Miodek

Projekt okładki: Jan Paluch
Zdjęcia na okładce: Piotr Andryszczak

Projekt graficzny: Katarzyna Leja
Skład: Katarzyna Leja, Sabina Binek
Mapy: Leszek Jędraszczak

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawnictwo Helion dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawnictwo Helion nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo Helion
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 2309863
e-mail: redakcja@bezdroza.pl
księgarnia internetowa: <http://bezdroza.pl>

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:
<http://bezdroza.pl/user/opinie/?bedomp>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydanie I
ISBN: 978-83-283-3736-7

Copyright © Dagmara Bożek-Andryszczak, 2017
Copyright © Helion, 2017

- | | |
|---|---|
| <ul style="list-style-type: none">• Kup książkę• Poleć książkę• Oceń książkę | <ul style="list-style-type: none">• Księgarnia internetowa• Lubię to!Nasza społeczność |
|---|---|

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**

DOM POD BIEGUNEM. GORĄCZKA (ANT)ARKTYCZNA to historia małżeństwa z Krakowa, Dagi i Piotra, którzy pewnego zwykłego dnia 2012 roku wpadli na niezwykle pomysł wysłania aplikacji na wyprawę pod biegun. Rok pobytu w Polskiej Stacji Polarnej Hornsund na Spitsbergenie wystarczył, by zupełnie przypadkowy wyjazd, spowodowany chęcią przeżycia arktycznej przygody, przerodził się w prawdziwą fascynację i wywołał u nich mityczną gorączkę polarną.

Prawie trzy lata usilnych starań zakończyły się udziałem w kolejnej rocznej wyprawie – tym razem do Polskiej Stacji Antarktycznej im. Henryka Arctowskiego na Wyspie Króla Jerzego. W ten sposób Daga i Piotrek zostali pierwszym małżeństwem, które przezimowało w obu polskich stacjach polarnych!

Praca w terenie, przy wyjąłym wietrze, niespodziewane wizyty niedźwiedzi, przełamywanie własnych barier i ograniczeń oraz... prawdziwy dom – stworzony tam, gdzie siła natury góruje nad konwenansem, a zależność od drugiego człowieka jest tak duża jak nigdzie indziej na świecie. To tu, podczas wspólnych rozmów w mesie nad gorącym kubkiem herbaty, powstają polarne przyjaźnie. I nawiązują się kontakty, które rozpoznaje się po mocniejszym niż zwykle uścisku dłoni i błysku w oku.

Książka pokazuje życie w obu stacjach od kuchni: codzienne, powtarzalne zajęcia, badania, dbanie o stacyjny sprzęt i najbliższe otoczenie. Autorzy wnikliwie obserwują rzeczywistość, w której się poruszają, a swoją opowieść o małżeńskim wypadku na koniec świata urozmaicają historią obu stacji, interesującymi dyktorykami na temat życia polarników oraz wspomnieniami o przygodach, które wspólnie przeżyli.

PATRON MEDIALNY: **PODRÓŻE**



Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>

Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
• <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
• <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 730 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

ebook dostępny wyłączenie na:
ebookpoint.PL



ISBN 978-83-283-3736-7



cena 39,90 zł